

Karol Sauerland

Czy to był Rok Karnawału? Świadectwo odmiennych strategii wpływu w „Solidarności”

Rok „Solidarności” zwykło się obecnie nazywać Rokiem Karnawału¹. Szczególnie upodobałi sobie to określenie ci, którzy nie wywodzą się z kręgów ówczesnych decydentów czyli z tzw. nomenklatury i którzy dopiero po roku 1989 stali się wpływowymi ludźmi. Dają tym do zrozumienia, że nie są zainteresowani uznaniem tego okresu historii za coś wyjątkowo pozytywnego, a jedynie za okres zabawy w duchu Bachtinowskim. Uznanie wyjątkowości tych szesnastu miesięcy oznaczałoby, że musieliby się zastanowić, na czym ta wyjątkowość polegała i czy nie warto byłoby do niej nawiązać. Zwolennicy określenia „rok karnawału” chcą jednak zapomnieć o tamtych miesiącach, bo pozwala im to lepiej urządzić się w dzisiejszym państwie, które jest w dużej mierze sterowane centralistycznie; prawie nie ma w nim miejsca na protesty społeczne, a kultura refleksji, związana z długimi debatami, jest spychana na margines.

Hannah Arendt i jej wizja rewolucji — siła i słabość „Solidarności”

Kilka tygodni po zakończeniu owych 16 miesięcy „Solidarności” przez wprowadzenie stanu wojennego zdecydowałem się zorganizować cykl wykładów na temat rewolucji i reakcji na nie władców wzgl. panujących. Zaniepokoiło mnie rozpowszechnione w roku 1981 twierdzenie, że nie mamy do czynienia z rewolucją, bo „Solidarność” nie jest ruchem rewolucyjnym. Słowo „rewolucja” uznawano wówczas w kręgach „Solidarności” często za obraźliwe. Nie spotkałem w owym czasie żadnej osobistości, która by przeczytała chociażby pobieżnie książkę Hanny Arendt o rewolucji, nie mówiąc o książkach z kręgów pokojowych

1. Tak na przykład album wydany przez Kartę nosi tytuł: *Karnawał z wyrokiem*. „Solidarność” 1980–1981. (opracowanie: Agnieszka Dębska; Katarzyna Madoń-Mitzner, Ośrodek Karta – Muzeum Historyczne m.st. Warszawy, Warszawa 2005). „Karnawał – tak z perspektywy stanu wojennego nazywano tamten okres”, czytamy na odwrocie książki z pięknymi zdjęciami. „W zderzeniu z realiami po 13 grudnia 1981 mógł się on jawić jako feeria wolności, kiedy to każdą prawdę można było wykrzyzczyć”. Słowo „wykrzyzczyć” brzmi dość dziwnie. Potem jednak autor, prawdopodobnie Zbigniew Gluza, poddaje pod rozwałę: „Ale czy można nazywać karnawałem czas, gdy każda radość, nadzieja, już po chwili okazywały się złudzeniem [...]”.

anarchistów lub o pracach na ich temat. Gdy zaproponowałem profesor Barbarze Skarżance omówienie tej książki Hanny Arendt dla *Przewodnika po literaturze filozoficznej XX wieku*, zostało to skwitowane odmową, gorzej: na przesłany manuskrypt nigdy nie dostałem odpowiedzi². Wówczas interesowano się niemal wyłącznie książką Hanny Arendt o totalitaryzmie, której fragmenty z trzeciej części ogłoszono w drugim obiegu³.

W roku 1987 napisałem w tekście, wydanym w drugim obiegu, że zdaniem Hanny Arendt przywykliśmy do tego, by w rewolucji francuskiej upatrywać wzór dla wszelkich późniejszych rewolucji europejskich. Dlatego też jesteśmy dzisiaj przeświadczeni, iż każda rewolucja wiedzie ku dyktaturze, a prawidłowość, zgodnie z którą rewolucja pożera swoje własne dzieci, jest zjawiskiem nieuchronnym. Z rewolucji amerykańskiej powinniśmy jednak wyciągnąć zgoła inne wnioski. Została wszak uwieńczona sukcesem: w jej następstwie powstała republika, o trwałości której świadczy fakt, iż po dzień dzisiejszy Stany Zjednoczone opierają się na konstytucji, w swej zasadniczej substancji odpowiadającej tej z 1787 roku. Ponadto amerykańscy rewolucjoniści – tamtejsi „budowniczości” – nie wymordowali się nawzajem, lecz wspólnym wysiłkiem urzeczywistnili swoje zamysły: stworzyli nową państwowość, w której ani poszczególne ciała względnie instancje, ani też obywatele nie są pozbawieni autonomii. Tej myśli Hanny Arendt w roku 1980/81 jakoś nie przyjęto do wiadomości. Ze słowem „rewolucja” ciągle kojarzono rewolucję i francuską, i przede wszystkim bolszewicką, która nią właściwie nie była. W Rosji prawdziwe rewolucje miały miejsce wyłącznie w roku 1905 i w lutym 1917. Tak zwana rewolucja październikowa była po prostu puczem.

Odmienność rewolucji amerykańskiej od francuskiej przyciągnęła uwagę Hanny Arendt nie tyle ze względów historycznych, co raczej dlatego, iż autorka przypisywała jej zasadnicze znaczenie dla przyszłości. Zdaje się wręcz nawoływać: wzorujcie się przy nadchodzących rewolucjach na typie amerykańskim, nie zaś na francuskim, co jest równoznaczne z: odwołujcie się do praw wolności, a nie konieczności.

Współczesną rewolucję, według Hanny Arendt, charakteryzuje idea wolności. Przez jej realizację rozumie ona taki stan, w którym wszystkim bez żadnych przeszkód wolno wymieniać poglądy, przy jednoczesnej możliwości współuczestniczenia w ogólnospołecznych procesach rozwoju. Z tego prawa musi móc

2. Artykuł ten wykorzystałem później w publikacji zamieszczonej w drugim obiegu: *Wolność a konieczność. Dwa typy rewolucji*, w: *Czas*, 8–9/87, s. 162–178 i *Hannah Arendt – dwa pojęcia rewolucji*, w: *Europa*, 2/1988, s.48–56.

3. Zob. na ten temat Katarzyna Leszczyńska, *Die Geschichte der Arendt-Rezeption in Polen*, w: *Hannah Arendt Newsletters. Philosophy and Politics*, 3/2000, s. 40–45. Autorka wymienia kilka pozycji z drugiego obiegu.

korzystać również mniejszość, czy to narodowa, czy wyznaniowa, czy jakaś inna. Arendt podkreśla jednym słowem, iż wolność nie jest możliwa bez równości politycznej, tj. bez prawa do współdecydowania i swobodnej wymiany poglądów. Przy podejmowaniu decyzji niezbędna jest obecność równorzędnych partnerów. Dlatego też wolność wymaga „zawsze jakiejś specjalnie dla niej skonstruowanej przestrzeni, umożliwiającej ludziom spotkanie się ze sobą, jakiegoś punktu zbiorczego, owej agory, wokół której skupiona była politycznie polis”.

Rewolucja rozpoczyna się, pisze Arendt, przeważnie aktem przemocy. Pod tym względem podobna jest do rewolty, przewrotu państwowego i zamachu stanu. Jednakże w przeciwieństwie do tych właśnie wydarzeń politycznych, w przypadku rewolucji chodzi o wprowadzenie czegoś nowego, o ukonstytuowanie nowej formy państwa, o utworzenie nowego ciała politycznego, o powołanie do życia tworu, który ma pełnić teraz i w przyszłości funkcję gwaranta wolności. Arendt zwraca przy tym uwagę na to, jak bardzo zaskoczeni byli amerykańscy rewolucjoniści w XVIII wieku, gdy „porwały ich tryby spraw publicznych”, gdy zakosztowali czerwonego znaku odnowy. Dotąd żyli w przeświadczeniu, że szczęście płynie jedynie ze spokoju. Teraz natomiast pojęli, jak to określa John Adams, że „tym, z czego czerpią przyjemność, jest akurat działanie, a nie spoczynek”. Chodzi jednakże nie o działanie samo w sobie, lecz o takie, które jest osadzone w przestrzeni wolności.

W Polsce rewolucja „Solidarności” nie została jednak wywołana aktem przemocy, tylko strajkiem okupacyjnym. Rewolucjoniści, tzn. ówczesni dysydenci, byli tym oczywiście także zaskoczeni. Podążyli jak najszybciej, o ile nie znajdowali się w więzieniu lub nie zostali zatrzymani przez organa MBP, do Stoczni w Gdańsku, by wziąć udział w tym ogromnym proteście. Na ogół pełnili tam rolę doradców.

Niesamowitem aktem owego zrywu rewolucyjnego było nagłośnienie debat prowadzonych między przedstawicielami rządu i reprezentacją strajkujących. Wyraziło się w tym to, co Arendt rozumiała pod pojęciem rewolucji: odbywa się na oczach wszystkich, a jej celem jest znalezienie przez strony konfliktu rozwiązania problemów nurtujących wszystkich, stworzenie nowego porządku. Stocznia Gdańska przekształciła się wówczas w prawdziwą agorę⁴. Na uwagę zasługuje fakt, że rzesza strajkujących była bardzo dobrze zorganizowana, i tak na przykład każdy dzień zaczynał się od wspólnej, porannej modlitwy,

4. Na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej przed wprowadzeniem stanu wojennego w dniach 11 i 12 grudnia 1981 r. zatwierdzono uchwałę z dnia 03.12.1981 r.: „Krajowa Komisja zaleca członkom grup negocjacyjnych, aby zawsze domagali się pełnej jawności rozmów, obecności dziennikarzy i transmisji radiowo-telewizyjnych i radiowęzłowej”, ponadto „KK uważa, że najlepszym miejscem negocjacji są zakłady pracy, gdzie załoga może bezpośrednio przysłuchiwać się obradom” (w: *Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 11–12 grudnia 1981 r.*, w: *Archiwum „Solidarności”*, Warszawa 1986, s. 273).

na co szczególnie Zachód patrzył z niedowierzaniem, dopiero w czasie rewolucji arabskich zrozumiał z tego coś niecoś.

Następnym etapem było przekształcenie ruchu „Solidarności” w organizację. Jej władze zostały utworzone w drodze wyborów na wzór Rad Robotniczych, choć wówczas nikt nie odważył się użyć tej nazwy, dlatego że za bardzo kojarzyła się z „rewolucją październikową”, mimo że istniała chlubna karta Rad Robotniczych w roku 1905 w Rosji, a potem w roku 1956 na Węgrzech oraz w Polsce.

Hannah Arendt pisała zarówno w książce o rewolucji węgierskiej⁵, jak i o rewolucji, że ci, którzy są „zgrupowani w radach” stanowią elitę,

ściślej rzecz ujmując: nawet jedyną prawdziwą, wywodzącą się z ludzi elitę, jaką dane było ujrzeć czasom nowożytnym. Nie byli oni nominowani z góry i wspierani z dołu, lecz w wolnych wyborach wyłonieni spośród siebie równych, ponieważ zaś obowiązani byli do rozliczenia się przed wyborcami ze swych poczynań, stale utrzymywała się pielęgnowana więź łącząca ich z innymi, wciąż byli jeszcze przed nimi odpowiedzialni. W pewnym sensie tutaj po raz pierwszy elita nie została wybrana spośród pewnej grupy, wszystko jedno według jakich kryteriów, lecz raczej zrodziła się sama z siebie; ci, którzy zjednoczyli się i zorganizowali w radach, byli zarazem ludźmi zdającymi sobie sprawę z obarczającej ich odpowiedzialności, ludźmi pragnącymi przejąć inicjatywę; w rzeczywistości stanowili polityczną elitę narodu, którą rewolucja jedynie ujawniła. A gdy członkowie rad wyższych przystępowali do wyboru posłów do instancji nadrzędnych, ponownie wybierali spośród siebie równych; dotyczy to także kolejnych wyborów posłów, aż do samej rady najwyższej. Nacisk z dołu czy z góry jest w ramach takiego systemu nie do pomyślenia. Wszyscy w ten sposób wybrani zawdzięczają swój wybór na wszystkich poziomach wyłącznie zaufaniu równych sobie, a ta ich równość nie wynika z natury ludzkiej ani też z cech wrodzonych, lecz jest równością tych, którzy zobowiązali się realizować pewne przedsięwzięcie i teraz są przy nim zatrudnieni. Na ich publicznym posterunku dodaje im otuchy jedynie zaufanie tych, spośród których sami zostali wyłonieni⁶.

5. Marek Latoszek nie wymienia tej pozycji w swoim artykule *Solidarność w procesie dynamicznej równowagi* (polskie wydanie można znaleźć w czasopiśmie z drugiego obiegu: „Europa” (Pismo Instytutu Europy Wschodniej), 2 (4) 1988: Hannah Arendt, *Rewolucja węgierska a imperializm totalitarny* s. 4–45), cytuje natomiast z jej książki o rewolucji. Zob.: *Kultura Solidarności. Socjologiczno-antropologiczne analizy kulturowego dziedzictwa „Solidarności”*, red. Karolina Ciechorska-Kulesza, Radosław Kossakowski, Paweł Łuczeczko, Orbis Exterior, Pszczółki 2011, s.75–106. Również zespół, który wydał pod redakcją Marcina Kuli książkę pt. *Solidarność w ruchu 1980–1981*, Warszawa 2000, nie uwzględnił rozważań Arendt na temat rad robotniczych, zamiast tego znajdujemy na s. 147 odwołanie do kultury staropolskiej, tzn. do tradycji sejmików szlacheckich. Do jakiej tradycji powinni się wobec tego odwoływać autorzy węgierscy i rosyjscy w związku z rewolucjami z 1956 i 1905 roku?

6. Hannah Arendt, *Über die Revolution*, München 1974, s. 359 i następne.

W ten sposób odbywały się wybory do poszczególnych komisji „Solidarności”, od zakładowych poprzez regionalne (wojewódzkie) aż do Komisji Krajowej, toteż mało kto wyłamał się w czasie wprowadzenia stanu wojennego z ruchu solidarnościowego, przechodząc na stronę WRON-u⁷. Zasada opisana przez Arendt została jednak złamana po wydarzeniach w Bydgoszczy, kiedy to Lech Wałęsa razem z czterema innymi delegatami Krajowego Komitetu Strajkowego (KKS) wbrew woli kierownictwa i większości członków Związku zgodził się na odwołanie strajku generalnego⁸. Od tego czasu „Solidarność” słabła, przestając tworzyć prawdziwą przeciwwagę do rządzących. Wałęsa nie pojmował reguł powszechnej demokracji, nie pojmował, że na niej polegała jej niesamowita siła⁹, bo wszyscy mogli czuć się częścią wielkiej całości, mogli uważać, iż ich głos jest zauważany. Wałęsa niestety do dziś żyje w przeświadczeniu, że to właśnie on stanowił najważniejszą siłę „Solidarności”.

* * *

Śledząc burzliwą dyskusję, jaka toczyła się na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej w dniach 30.03 i 01.04.1981 r. można stwierdzić, że większość jej członków zdawała sobie sprawę, iż sposób, w jaki odwołano strajk generalny

7. WRON – Wojskowa Rada Obronę Narodowej.

8. Do Komitetu należeli: Zbigniew Bujak, Andrzej Cierniewski, Lech Dymarski, Krzysztof Gotowski, Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Ryszard Kalinowski, Antoni Kopczewski, Bogdan Lis i Andrzej Słowik.

9. Przed spotkaniem Komitetu Rady Ministrów d/s Związków Zawodowych pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Rakowskiego z komitetem KKP NSZZ „Solidarność”, Wałęsa został przyjęty zarówno przez Prymasa Wyszyńskiego jak i Jaruzelskiego. Jego spotkanie z generałem wówczas nie zostało ujawnione, miało mieć „charakter poufny”. Rakowski opisuje to spotkanie w następujący sposób: „Wieczorem WJ (Wojciech Jaruzelski – K.S.) poinformował mnie o rozmowie z Wałęsą w hotelu rządowym na Parkowej. [...] WJ i Wałęsa uzgodnili, że spotkanie ma charakter poufny i nie poinformują o nim opinii publicznej. Atmosferę spotkania generał określił jako bardzo nerwową. Główny temat – wydarzenia bydgoskie, ale nie tylko. WJ przedstawił Wałęsie ocenę sytuacji w kraju, która wciąż się pogarsza. Mówił o bezrozumnych strajkach, a także o licznych przejawach działalności terenowych ogniw »Solidarności«, które występują przeciw organom państwowym, stawiają coraz to nowe, niemożliwe do zrealizowania żądania, różnymi agresywnymi wystąpieniami przyczyniają się do wzrostu napięcia w kraju. Generał powoływał się także na publikacje osób ze środowiska KOR-owskiego. Na to Wałęsa: »Ja tę kurioniadę ukróćę«. Na moje pytanie do WJ, czy uważa to zobowiązanie za rzeczywistą wolę, czy też grę (w pewnej chwili Wałęsa powiedział również: »Panie generale, wykonam każdy pański rozkaz«), generał odpowiedział: »Zobaczmy« (*Dzienniki polityczne*, t. 7, Warszawa 2004, s. 366). To oddaje bardzo dobrze dwuznaczną postawę Wałęsy, nawet jeśli Mieczysław Rakowski opisał rozmowę z Jaruzelskim zbyt stronniczo.

spowodował zmianę charakteru ruchu „Solidarności”¹⁰. Ruch ten stracił swą dynamikę przez to, że najważniejsze decyzje zaczęto podejmować za zamkniętymi drzwiami, głównie z udziałem tzw. doradców. Nie tylko szeregowi członkowie „Solidarności” zrozumieli, że ich aktywność w zasadzie już się nie liczy, bo również członkowie Krajowej Komisji mieli coraz mniej możliwości wpływania na bieg zdarzeń.

Wszyscy, także wielu członków PZPR, przygotowując się do strajku, czynili to w nadziei na gruntowne zmiany w kraju, na to, że samowola władzy zostanie ukrócona. Tymczasem ekipa Jaruzelskiego wysłała obronną ręką z opresji, stosując różne chwytaki, a zwłaszcza rozpowszechniając groźby, że nastąpi interwencja sowiecka. Dziś wiemy, że Związek Radziecki bynajmniej nie zamierzał interweniować, i już wówczas wiadomo było, że władza jeszcze nie była gotowa do skutecznego wprowadzenia stanu wojennego, i nie groziła żadna wojna domowa. Z punktu widzenia funkcjonowania NSZZ „Solidarność” jednak nie to było w tym momencie czynnikiem najważniejszym, lecz odejście od jawnego działania, przy drzwiach otwartych.

W dążeniu do Rzeczypospolitej samorządnej i akademickiej

W życiu codziennym tej słabości jednak nie dało się od razu odczuć. Wszystkie powstałe inicjatywy były dalej wprowadzane, pojawiły się nawet nowe. Chodziło przede wszystkim o to, w jaki sposób należy uregulować działanie instytucji, funkcjonowanie tego obszaru, z którym się było związanym zawodowo.

Sam aktywnie uczestniczyłem w procesie tworzenia nowej ustawy o szkolnictwie wyższym. Wydarzyło się wtedy coś niespotykanego w historii szkolnictwa wyższego. Niemal na wszystkich uczelniach utworzono komisje, w których zaczęto się zastanawiać, jak polepszyć sytuację, jak znowu osiągnąć wolność nauki i badań. W nocy z 9 na 10 stycznia 1981 zanotowałem w dzienniku, który zacząłem pisać jesienią poprzedniego roku:

10. Posiedzenie to zostało zadokumentowane w: *Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 31 III–1 IV 1981*, w: *Archiwum „Solidarności”*, Warszawa 1987. W książce pt. *Solidarność w ruchu 1980–1981*, Wałęsa figuruje jako przywódca charyzmatyczny, który wiedział, co „Solidarność” może, a czego nie. „Wałęsa nieraz musiał apelować do delegatów, by zrozumieli, że wszystko można i należy załatwiać publicznie”, czytamy w tomiku *Kultura Solidarności...* (s. 21; zob. też s. 117), przy czym autorzy cytują akurat jego wypowiedź z posiedzenia po odwołaniu strajku generalnego, kiedy bynajmniej nie musiał apelować do delegatów, lecz tłumaczył się ze swej samowoli. Należy pamiętać, że jednym z jej skutków była rezygnacja Karola Modzelewskiego z funkcji rzecznika prasowego.

Popołudniu i wieczorem (od 15 do 21.30) prowadzenie komisji szkolnictwa wyższego. Było ciężko. [...] Do omówienia czterdziestostronicowy dokument. [...] projekt ustawy zaproponowali humaniści, co oczywiście wywołało falę krytyki ze strony reprezentantów kierunków ścisłych. Finanse odgrywają tam dużą rolę i priorytety układają się całkiem inaczej.

Projekt budżetu przewidywał 2% nakładów na naukę i oświatę, co było dla nas śmieszna sumą. W krajach rozwiniętych, jak się wtedy dowiedziałem, było to ponad 4% budżetu, przy czym liczba ta nie uwzględniała dotacji z sektora prywatnego (głównie firm przemysłowych). W socjalizmie było to zjawisko nie znane.

Już w weekend 16 i 17 stycznia spotkali się delegaci solidarnościowej komisji szkolnictwa wyższego z całej Polski, by debatować o podstawowych założeniach nowej ustawy. W końcu zlecono jednej grupie, by na następnym *zebraniu okręgowym* przerobiła postulaty zebrania na język ustawy i w tej formie przedłożyła całość pod obrady. Jednym z naszych głównych celów było odejście od modelu sterowania przez państwo. Chcieliśmy to osiągnąć poprzez demokratyzację szkolnictwa wyższego. Wybrane organa miały mieć wszędzie moc podejmowania decyzji. Jasne było, że wierni członkowie partii mieli raczej małe szanse, by zostać do nich wybranymi. Większość z nas była zdania, że wybrane organa będą mogły lepiej odparować ataki ministerstw, organów partyjnych itp., niż pojedyncze osoby. Nie było nadziei na prawdziwe zwycięstwo demokracji. Dlatego w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym przyznano decyzjom rady głównej, do której każda uczelnia miała wybierać swojego przedstawiciela, większe znaczenie niż decyzjom ministerstwa. Senat był ponad rektorem, rada instytutu ponad dyrektorem instytutu itp. Każda uczelnia miała sama opracować program studiów i sama decydować o swoim statucie. Minister mógłby tylko wtedy interweniować, gdyby złamano przepisy prawa. Już w czerwcu 1981 mówiło się w kręgach „Solidarności” o nadmiarze demokracji w szkolnictwie wyższym. W wyborach na poszczególne stanowiska uczelniane wygrywały jednostki raczej nie wybitne, co jest regułą w demokracji. Ale mówiliśmy sobie, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby centralnie wybrani jajogłowi mieli o wszystkim decydować bez kontroli ciał kolegialnych.

Ważną rolę odgrywały wówczas również określone wartości podstawowe, niepodważalne ani dla naukowców ani dla nikogo innego. Obok swobody badań naukowych za taką wartość uznano sprawiedliwość społeczną. Przykładaliśmy do tego szczególną uwagę, o ile sobie przypominam. Trzeba bowiem pamiętać, że w państwie realizmu wartości te niewiele znaczyły. Sprawiedliwe społecznie było to, co uznawała nomenklatura, jako że jedynie ona korzystała z przywilejów, reszta była równa pod względem ubóstwa.

Z projektem ustawy uporaliśmy się szybko, chociaż był dyskutowany przez setki ludzi. W połowie kwietnia był gotowy. W czerwcu „Solidarność” przekazała go Sejmowi. Ale dopiero wtedy zaczęła się zabawa. Był to czas, kiedy uniwersytety po raz pierwszy wybierały swoje rady wydziałów, dziekanów, rektorów i innych przedstawicieli. Z dnia na dzień utwierdzaliśmy się w poczuciu, że sami o sobie decydujemy. Partia najpierw nie reagowała. W Sejmie po prostu nie debatowano o ustawie o szkolnictwie wyższym, która właśnie miała zostać przyjęta. Dopiero na wiosnę kierownictwo partii zostało do tego przymuszone przez strajki studentów. Studenci zdecydowali się nawet na strajk okupacyjny, tzn. na pozostanie na kampusie przez całą dobę. Ponieważ władza postawiła na konfrontację, strajki te trwały tygodniami. Rozpoczęły się w listopadzie i zakończyły dopiero krótko przed wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że kierownictwo partii, podsycając strajk studentów, miało nadzieję doprowadzić do podziału „Solidarności” – jak wiadomo robotnicy uważają, że studenci nie mają protestować, lecz uczyć się, w myśl zasady, że przecież im i tak się dobrze powodzi. Ale studenci nie strajkowali, zabiegając o przywileje, ani przeciwko swoim wykładowcom, lecz o to, by Sejm w końcu zechciał rozpocząć debatę o szkolnictwie wyższym, o prawo do decydowania o sobie i o to, co ogólnie nazywa się wolnością akademicką. Kierownictwo partii przeliczyło się zakładając, że fenomen solidarności między robotnikami i inteligencją rzadko się w historii zdarza. Kiedy na zjeździe delegatów „Solidarności” 16 grudnia dyskutowaliśmy o tym, czy powinniśmy się przyłączyć do strajku studentów i okazało się, że część się po prostu boi, zabrał głos przedstawiciel robotników na uniwersytecie, Maciej Jankowski, który w tym czasie był już jednym z liderów mazowieckich struktur związku, a w latach dziewięćdziesiątych został szefem „Solidarności” regionu Mazowsze, wyjaśniając, że robotnicy mu wielokrotnie mówili o swojej determinacji, by walczyć o wolność środowisk akademickich. Ich zdaniem akademicy są na to zbyt strachliwi.

Strajkujący studenci zachowywali się nad wyraz zdyscyplinowanie, między innymi, starali się kontynuować naukę. Kadra naukowa, która poparła strajk, miała im zademonstrować, jak mógłby wyglądać inny, alternatywny uniwersytet. Naturalnie szło przede wszystkim o odkrycie kłamstw w przedstawianiu historii Polski i literatury, oraz o krytykę sposobu, w jaki do tej pory nauczano. Mówiłem do strajkujących studentów między innymi o wizerunku Rosji w ujęciu Marksa, tzn. o tekście, który w świecie wschodnim był prawie nikomu nie znany (na marginesie – jest on wart czytania również dzisiaj, gdy znowu zadajemy sobie pytanie o przyszłą rolę Rosji we współczesnym świecie), o książce *Masa i władza* Eliasa Canettiego i o nowych prądach filozoficznych na Zachodzie. Naturalnie były intensywne dyskusje. Odczuwało się potrzebę do odnowy. Strajk był również dobrą okazją, żeby przedstawić opracowaną przez „Solidarność”

ustawę o szkolnictwie wyższym, ponieważ większość studentów miała tylko ogólne pojęcie o tym, za czym strajkuje. Od dwudziestego listopada wolno było także nie strajkującym studentom uczęszczać na wykłady i seminaria „innego uniwersytetu”, jak to się wtedy nazywało, w godzinach między 12 i 16. Po godzinie 16, kiedy robiło się ciemno, brama była zamykana, ponieważ obawiano się prowokacji ze strony władzy.

W tym czasie Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich zabiegała o załagodzenie sporów. Ukonstytuowała się w sierpniu i stopniowo zdobywała najwyższy autorytet w kwestiach dotyczących szkolnictwa wyższego, ponieważ składała się z przedstawicieli pochodzących z wyboru. Jednocześnie była naszym demokratycznym przedstawicielem. Ponieważ na wszystkich dużych uniwersytetach rektorami i prorektorami zostali znani uczeni, opinia publiczna liczyła się z ich głosem. Celem Konferencji było wypracowanie kompromisu, bez rezygnowania z podstawowych założeń. W grudniu zanotowałem w dzienniku:

Największym sukcesem (i być może jedynym) strajków studenckich jest to, że Konferencja Rektorów usamodzielniała się i w Polsce powstał rodzaj wspólnoty akademickiej, do której należą naturalnie nie wszyscy nauczyciele akademicy, ale ci lepsi już tak. Konferencja chce być przedstawicielem Rady Głównej (planowanego organu głównego) do jej wyborów.

Mój wydział na Uniwersytecie Warszawskim już dwa tygodnie wcześniej przyjął znaczną większością głosów radykalną wówczas uchwałę głoszącą, że Konferencja Rektorów może objąć kierownictwo aż do przyjęcia nowej ustawy, tzn. decydować, co wolno robić, a czego nie. Oznaczało to w praktyce, że mieliśmy się trzymać projektu ustawy „Solidarności”. Na początku grudnia Konferencja Rektorów podjęła energiczne kroki. Groziła nawet uniezależnieniem szkół wyższych od ministerstwa, jeżeli nie będzie zgody na pierwsze rozwiązanie. Skomentowałem wówczas: rozwiązaniem jest rzeczpospolita akademicka.

Do 10 grudnia we wszystkich uczelniach (z wyjątkiem jednej) strajki zostały zawieszane. Posłuchano apeli Krajowej Komisji „Solidarności”, by wszyscy strajkujący wrócili do swoich zajęć. Ustawa o szkolnictwie wyższym trafiła pod obrady komisji sejmowej. Zostały one ocenione przez mojego kolegę, z którym na początku roku dzieliłem przewodnictwo komisji „Solidarności” na UW, jako interesujące i owocne. W końcu posłowie pochodzili z dawnych wyborów, przeprowadzanych według socrealistycznych zwyczajów. Trudno im było przywyknąć do tego, że nie decyduje jedna osoba, minister albo rektor, ale że istnieją takie organa jak Rada Główna, które dopiero w trakcie obszernych debat i po intensywnych konsultacjach dochodzą do konsensusu.

Równoległe do tych czynności dotyczących sejmowych przedstawicieli „Solidarności” pilnowali przebiegu tego, co działo się na uczelniach. Tak np. delegat regionu wielkopolskiego, Lech Dymarski, przekazał obradującym na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej, co uchwalono w jego regionalnej komisji:

Otóż ukonstytuowała się, może już koledzy o tym wiecie, Konferencja Rektorów Polskich, która tym samym właściwie ukoronowała ruch samorządowy w uczelniach i właściwie jest to jedyny ruch samorządowy, który się zakończył – z takim małym szczegółem, że istnieje jeszcze to ministerstwo (Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki). Dlatego złożyłem w komisji uchwał i wniosków uchwałę i prośbę potem o jej poparcie. Otóż Konferencja Rektorów najpierw spotkała się w Poznaniu razem z Konferencją Studencką. W tym samym dniu spotkali się przedstawiciele załóg największych poznańskich zakładów pracy i w rezolucji wręcz wezwały te zakłady, tych rektorów wybranych demokratycznie – podkreślam – wezwały do przejścia władzy nad nauką polską. W odpowiedzi rektorzy wydali swoje oświadczenie, w którym może wprost nie sformułowali tego tak, że przejmują władzę, ale faktycznie w tym kierunku to może zmierzać. Otóż dopóki strajkują studenci, ministerstwo nie posiada sankcji merytorycznych do wkroczenia w szkolnictwo wyższe, natomiast posiada może sankcje finansowe. Otóż w momencie, kiedy Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego odcięłoby pieniądze na finansowanie szkolnictwa wyższego, w tym momencie wielkie zakłady przemysłowe mogłyby bez pośrednictwa administracji, biurokracji – finansować polską naukę i w ten sposób mielibyśmy jedno niepotrzebne ministerstwo z głowy, jednocześnie finał wielkiej rewolucji w nauce polskiej¹¹.

Druga strona zapewne twierdziła, że robotnicy z „Solidarności” są anarchistami. Zarazem okazało się, w jakim stopniu członkowie „Solidarności” uwewnętrzniili hasło *Samorządnej Rzeczypospolitej*.

* * *

W każdej dziedzinie, czy w służbie zdrowia, czy w rzemiośle, czy w rolnictwie, czy w samej PZPR – mam tu na myśli tzw. struktury poziome – lub gdzie indziej, dochodziło do takich inicjatyw, które miały na celu uzdrowienie życia społecznego w ogóle. Zaczęły się oczywiście krzyżować różne interesy, co osobiście mogłem obserwować w komisji do spraw szkolnictwa wyższego. Inne interesy miały politechniki, inne małe uczelnie, inne duże etc. Ale z tym trzeba było dać sobie radę. Bardzo często należało przełożyć spotkanie o tydzień, aby móc przeemyśleć głębiej dany problem. Dla tych, którzy uważali, że wszystko posuwa się zbyt wolno naprzód, wprowadzenie stanu wojennego było prawdopodobnie ulgą.

11. *Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 11–12 grudnia 1981. w: Archiwum „Solidarności”, Warszawa, 2003, s. 165 i następane.*

Nareszcie nie trzeba było reflektować nad szkolnictwem wyższym jako takim, nad jego ulepszeniem, można było wszystkie decyzje zostawić pojedynczym osobom, np. ministrowi, a potem z satysfakcją narzekać w prywatnych rozmowach na jego kiepskie zarządzanie.

„Sieć” jako próba organizacji samorządnej w „Solidarności”

Pewnym punktem szczytowym było przyjęcie programu „Solidarności” w drugiej turze pierwszego Zjazdu Związku jesienią 1981 r. VI część programu była zatytułowana „Samorządna Rzeczpospolita”. Chodziło o to, by Polska była rządzona przez oddolnie wybrane organizacje i instytucje we wszystkich obszarach życia społecznego. Tylko w ten sposób można było przezwyciężyć kryzys zarówno gospodarczy jak i polityczno-państwowy. Jeśli ludzie poczują się gospodarzami zakładów i instytucji, w których pracują, terenu, gdzie mieszkają, to zapewne podejmą oni odpowiednie inicjatywy dla uzdrowienia sytuacji w kraju. Szczególną podstawę owej „Samorządnej Rzeczpospolitej”, czytamy w tezie 20, stanowiąc mają „samorządy pracownicze”, czyli coś w rodzaju rad robotniczych. Miały one reprezentować załogę, „a operatywnie miał kierować dyrektor, powołany drogą konkursu przez radę i przez nią też odwoływany”. Tak samo organizacje spółdzielcze znowu miały same decydować o swojej działalności i wewnętrznej strukturze. „Autentyczną spółdzielczość” miała gwarantować specjalna ustawa. Te same postulaty zgłaszano w stosunku do gmin i rad terytorialnych. Mocno wyakcentowana została też sprawa niezawisłości sądownictwa.

Ze zrozumiałych względów nie została poruszona rola organów państwowych, aby nie dotyczyć problemu tzw. przewodniej roli partii. Z samego tekstu wynika jednak dosyć jasno, że polskie społeczeństwo samo byłoby w stanie rządzić państwem, samo znalazłoby sposób na jego przebudowę. Brzmi to dziś dosyć utopijnie, szczególnie dla tych, którzy nie mogą sobie wyobrazić, że był taki czas, gdy kilkaset tysięcy osób było gotowe poświęcać siły na rzecz odnowy, przebudowy państwa. Tę gotowość przejawiał między innymi ruch „Sieci Organizacji Zakładowych NSZZ »Solidarność«” utworzonych 14 kwietnia 1981 r. W skład Sieci weszło 18 struktur zakładowych – po jednej z kluczowego przedsiębiorstwa z każdego dawnego (sprzed 1975) województwa. Wyjątek uczyniono dla dawnego woj. katowickiego, które było reprezentowane przez dwa zakłady. Dodatkowo, jako reprezentanta świata nauki, włączono Ogólnopolską Komisję Porozumiewawczą NSZZ „S” PAN. Sekretarzem został Jerzy Milewski – pracownik naukowy z Gdańska. Sieć miała się zajmować głównie sprawami reformy gospodarczej, później także powołaniem samorządu pracowniczego. Było to tzw. pozastatutowa struktura pozioma skupiająca organizacje „S” z wiodących zakładów pracy.

„Największą rolę odgrywały” – według internetowej encyklopedii „Solidarności” – „KZ Stoczni Gdańskiej im. Lenina, Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, Huty im. Lenina z Nowej Huty, KWK Wujek z Katowic, HCP z Poznania, Pafawagu z Wrocławia i Zakłady Mechaniczne Ursus z Warszawy. Każdy z zakładów miał utrzymywać robocze kontakty z innymi przedsiębiorstwami w swoim Regionie”¹². W rzeczywistości z Siecią współpracowało po pewnym czasie około 2000 zakładów pracy. Miały one już plany, jak sobie nawzajem pomagać. W sierpniu został uzgodniony wzorcowy statut dla samorządów pracowniczych i projekt ustawy o zakładach państwowych, którym przypisano jak największą samodzielność, co oznaczało, że dotychczasowa rola banku musiała się zmienić. Już nie państwo – tzn. urzędnicy państwowi lub funkcjonariusze partyjni – miało decydować o tym, czy należy pożyczyć nierentownym zakładom odpowiednią sumę, lecz wyłącznie bank, który bardziej racjonalnie miał rozpatrywać zasadność prośby o pożyczkę. Projekt ustawy przekazano Sejmowi PRL, co jednak nic nie dało, bo przepadł już w podkomisji. Posłowie wybrani w marcu 1980 roku według starej zasady nominowania przez partię w większości nie pojęli nowych pomysłów.

* * *

Osobiście zainteresowałem się w lipcu zjawiskiem „Sieci”. Niestety niewiele zanotowałem w swoim dzienniku na jej temat. W dniu 19.07.1981 zapisałem:

W Poznaniu w tym tygodniu spotyka się „Sieć”. Coraz częściej mówi się o samorządności robotników. Sekretarz z Poznania powiedział: przechytrzyli nas. Przespaliśmy trochę. Śmieszne. To samo myślała o sobie „Solidarność”. Obudziła się przecież dopiero w czerwcu. Być może to wszystko zakończy się pozytywnym kompromisem. Tak czy siak samorzady robotników by się w ten sposób przebiły. W przeciwnym razie poniosłyby klęskę, upadłyby jak w 1956.

Zaś cztery dni później wziąłem udział w spotkaniu na Uniwersytecie Warszawskim z przedstawicielami Sieci, partii i rządu:

Dzisiaj byłem na spotkaniu przedstawicieli „Sieci” z kimś z rządu i sekretarzem organizacji partyjnej na Uniwersytecie, Andrzejem Kołakowskim. Człowiek z rządu był nudny, ale dwaj przedstawiciele Sieci wspaniali. Jeden z nich (Edward Nowak) przyszedł z huty Lenina, elektryk, drugi z Wrocławia (Adam Świnarski). Byli oburzeni słowami Kania, że jedyną platformą do dyskusji mogą być projekty rządowe – co znaczy: Kania jest takim samym obywatelem jak ja – nie może mi mówić, o czym będziemy rozmawiać

12. Zob. < <http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl> > (25.04.2012).

[...] Dalej był zdania, że samorzady i zakład powinny być dlatego przedmiotem dwóch odrębnych ustaw, żeby później móc wykorzystać jedną przeciw drugiej. Rząd widzi zawsze zakład bez załogi. Sieć nie była do tej pory uznawana za partnera, „Solidarność” nim była [...] Ledwie rząd się przyzwyczaił do „Solidarności”, a już powstaje nowy ruch, któremu nie można zarzucić, że wykracza poza ramy statutu, ponieważ nie posiada takiego i chce istnieć tylko tak długo, jak długo istnieje problem kryzysu gospodarczego. – Naturalnie chodziło też o nomenklaturę [...] Nowak powiedział: nomenklatura jest obrazą klasy robotniczej [...] Mój sąsiad był zdania, że partia byłaby za związkami zawodowymi, gdyby mogła w nich utworzyć większość; bolszewicy byli od 1917 do 1918 za Sowiecami, ponieważ mieli tam większość [...] Naturalnie dalej chodziło o sprawę własności, która jest niezmiernie delikatna. W Jugosławii znaczy to, że zakłady należą do społeczeństwa albo do nikogo. Dlaczego nikogo? Nie do państwa, nie do dyrektora, nie do załogi, nie do zarządu itd. Kilka razy padło słowo odpowiedzialność: kto ma ponosić odpowiedzialność? Państwo sądzi, że ponosi odpowiedzialność za zakład – ale do czego to doprowadziło? Czy ktoś został za dotychczasowe straty pociągnięty do odpowiedzialności? Nie. Załoga będzie mogła ponosić odpowiedzialność, jeżeli rynek znowu będzie funkcjonował. – Na marginesie, odnośnie kwestii własności: w socjalizmie stała się prawie bezpodstawna. Przesuwa się na inną płaszczyznę: kto decyduje? Ministerstwo, dyrektor czy załoga? Na końcu Nowak, niesłychanie energiczny mężczyzna z mocnym głosem, powiedział: władza musi zapłacić za swoje błędy! – Na marginesie partia wysłała do wszystkich dyrektorów okólnik, w którym próbowała zdyskredytować plan „Sieci”. „Sieć” natychmiast to pismo powieliła i opatrzyła komentarzem. – Również delegaci powinni się zaznajomić z tym pismem przed zjazdem partii. Tylko trzech do czterech delegatów (między innymi Józefiak) przejawili jakąś inicjatywę w kwestiach samorządności robotników”.

Pod koniec lipca Wałęsa wypowiedział się na temat samorządności podczas obrad na Komisji Krajowej. Stwierdził, jak wynika z moich notatek w dzienniku, że „Sieć” tylko częściowo rozwiąże pewne problemy, bo dotyczy wyłącznie wielkich zakładów, a istnieją też zakłady małe i średnie. Jego zdaniem rząd byłby niemądry, gdyby poparł takie jednostronne propozycje. Zgłaszając te krytyczne uwagi Wałęsa chciał podkreślić, iż interesuje się przede wszystkim przyjęciem nowej ustawy o Związkach Zawodowych. Zmiany, jakich dokonano w Sejmie w tej ustawie, słusznie uważał za nie do przyjęcia.

15 listopada Jacek Kuroń wystąpił na Uniwersytecie Warszawskim przed strajkującymi studentami. W godzinach rannych ja wygłosiłem dla nich wykład o Karolu Marksie i Rosji. Na temat wystąpienia Kuronia zapisałem:

O 16 Kuroń mówił w Auditorium Maximum o dzisiejszym dniu. Jego wykład był trochę chaotyczny, był zdania, że nie wszystkimi drogami można pójść, ale trzeba zrobić wszystko, żeby stworzyć rząd przejściowy, który zostanie uznany przez partię, „Solidarność” i Kościół. Sądził, że bez władzy centralnej nie ma żadnego wyjścia z kryzysu, i że tylko oddolnie nie da się niczego osiągnąć. Przeszkadzało mi jego koncentrowanie się na sobie,

jego zaufanie do samego siebie, wciąż mówił: ja i Kania, ja i [...] Chciałem go zapytać o rolę „Sieci”, ale zaniechałem tego.

Trochę później spotkałem kolegę, ekonomistę, który działał aktywnie w ruchu „Sieci”. Opowiadał mi, że rząd nie ma zamiaru przeprowadzić gruntownej reformy gospodarczej, tylko chce stworzyć coś prowizorycznego, natomiast „Sieć” ma zamiar zaproponować program ramowy, który zmusi rząd, by co najmniej stopniowo przeprowadzał reformy. Tego wszystkiego jednak nie da się, skomentował, przeforsować przed końcem roku. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że ten rok skończy się 13 grudnia wprowadzeniem stanu wojennego.

* * *

Marek Rzymśa próbuje udowodnić, że program „Solidarności” pt. „Samorządna Rzeczpospolita” „zawiera spójną wizję funkcjonowania państwa, w tym sfery społecznej”, że to nie jest „bynajmniej manifest o charakterze anarchistycznym; nie jest protestem przeciw państwu, ale przeciw zawłaszczeniu państwa przez władzę”¹³. Nie wiem, co rozumie Rzymśa pod pojęciami państwa i anarchizmu, czy jego uwaga jest skierowana przeciw książce Wojciecha Giełżyńskiego pt. *Edward Abramowski. Zwiastun „Solidarności”*, której jednak nie wymienia w bibliografii. Na stronie tytułowej tej książki widnieje charakterystyczny cytat z pism Abramowskiego:

W stowarzyszeniach spoczywa siła narodu i wolność człowieka. Gdzie stowarzyszenia są liczne i rozmaite, tam życie ludzkie jest swobodne od politycznej administracji, a wszelkie zamachy rządu na wolność spotykają się z niezwalczonym oporem. Gdzie zaś stowarzyszenia nie ma, tam policja panuje wszechwładnie, sama wszystkim administruje i rządzi, nie zwracając uwagi na rozmaite potrzeby i interesy mieszkańców. Ludzie niestowarzyszeni nie mogą oprzeć się żadnym gwałtom rządu, są na jego łasce¹⁴.

Abramowski nie neguje potrzeby istnienia państwa jako takiego, tylko pragnie jak najmniej państwa, o to chodziło chyba też większości aktywnych członków „Solidarności”. W języku niemieckim funkcjonuje termin *Entstaatlichung*, odpaństwowienie. Obywatel zawsze pragnie, nawet gdy chodzi o szczegóły, współdecydować o jego kształcie, być podmiotem, a nie przedmiotem. Organa państwa mają się jak najmniej wtrącać do życia obywateli, nie mają przeszkadzać w tworzeniu społeczeństwa obywatelskiego. W tym samym tomie, w którym opublikował swój

13. Marek Rzymśa, *Jaka samorządna Rzeczpospolita? Współpraca międzysektorowa w Polsce a dziedzictwo ruchu „Solidarności”*, w: *Kultura Solidarności*, s. 238.

14. Wojciech Giełżyński, *Edward Abramowski. Zwiastun „Solidarności”*, Polonia, Londyn 1986.

artykuł Rzymsza, Piotr Gliński zadaje pytanie, dlaczego właściwie tak mało wiemy o programie „Solidarności” – *nota bene* nie znalazłem go nawet w internetowym *Archiwum „Solidarności”*, nie mówiąc o możliwości przeczytania go w nowszej publikacji, ciągle cytuje się dodatek do *Tygodnika Solidarność* z 07.10.1981r, który w swoim czasie posiadałem, ale przepadł przez ubecką rewizję – i dlatego mało kto odwołuje się do programu. Odpowiedź Piotra Glińskiego brzmi:

Wszak, zdradzone przez współczesne elity społeczeństwo obywatelskie jest – po dwudziestu z górą latach transformacji – słabe i enklawowe. [...] Postkomunizm w sensie kulturowym, instytucjonalnym i ekonomicznym trzyma się wciąż mocno, a jeszcze do niedawna trzymał się bardzo mocno w sensie politycznym¹⁵.

Stało się to z winy elit wywodzących się z ruchu „Solidarności”, które

dość szybko odrzuciły programowe dziedzictwo „Solidarności” i opowiedziały się – wchodząc w sojusz z postkomunistami czyli przedstawicielami dawnych elit komunistycznych zwalczających zajadłe „Solidarność” – za modelem wartości elitarystyczno-antyobywatelskich. [...] Spokój znowu panuje w Warszawie i prawdziwy mit „Solidarności” współczesnym polskim elitom nie jest do niczego potrzebny, a nawet mógłby im – przynajmniej symbolicznie – zagrozić¹⁶.

Osobiście doszedłem do tego samego wniosku pod koniec czerwca i w lipcu 1989 roku, kiedy rozwiązano Komitety Obywatelskie i przeforsowano wybór Jaruzelskiego głosami posłów i senatorów „Solidarności” na stanowisko prezydenta. W nocy z 6 na 7 lipca, zanotowałem:

Czytałem dzisiaj broszurę Krzysztofa Laski o okrągłym stole. Jest źle napisana (do tego 60 stron kosztuje 250 złotych), ale tak czy siak stało się dla mnie jasne, że rząd mógł pójść na kompromis, ponieważ w gruncie rzeczy nic się nie zmienia, szczególnie zarządy terytorialne i nomenklatura. Rządzący nie obawiają się ani opozycji (nawet tej zorganizowanej), ani opozycyjnej publicystyki – zarządzają przeciw mediami. Również Sejm nie może nic zdziałać, ponieważ prezydent może zawetować każdą ustawę (jak niegdyś król), np. o zmianie struktur rządu, zlikwidowaniu nomenklatury, monopolu telewizji itd. Nawet nie wiadomo, czy nowe prawo wyborcze będzie się nadawało do przyjęcia.

Zaś 10 lipca pisałem:

Historia nie lubi się powtarzać. Choć wszystko przypomina o roku 1980/81, mamy teraz do czynienia jednak z całkiem inną sytuacją. Tym razem nie chodzi o duży ruch

15. Piotr Gliński, *Dziedzictwo Samorządnej Rzeczypospolitej w: Kultura Solidarności*, s. 32.

16. Gliński, s. 32..

społeczny, który tworzy coś na kształt rad, ale o próbę zreformowania porządku społecznego z pomocą parlamentu, który myśli zawsze bardziej rewolucyjnie. Choć Wałęsa wykreował grupę posłów „Solidarności”, traci coraz bardziej władzę nad nimi – jego komitet krajowy nie może odgrywać roli komitetu centralnego, jak by on sobie tego życzył. W zasadzie musiałby zostać prezydentem, żeby móc pełnić ważną rolę. Nawet nie jest w stanie przeforsować jednego z dwóch generalów na prezydenta. Partia traci swoich koalicjantów, którzy tylko do czasu będą się jej podporządkować. Wszyscy przebąkują, że grozi nowy stan wyjątkowy (pucz). Nie widzę tego – rząd będzie raczej próbował wszystko zatrzymać, nie dopuszczać do żadnych ważnych reform w oczekiwaniu na korzystny moment. Ważne byłoby, żeby również posłowie partyjni stali się reformatorami, ponieważ wtedy wytworzyłaby się nowa rewolucyjna siła, Sejm. Wydaje mi się ważniejsze, żeby Sejm był „nasz”, niż żeby był nasz premier, mówiąc za Michnikiem (nasz premier, wasz prezydent).

Po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta stwierdziłem, wróciwszy z przyjęcia w ambasadzie zachodnioniemieckiej, gdzie spotkałem między innymi Lityńskiego, Michnika i innych, w nocy z 20 na 21.07.1989:

Obawiam się, że ludzie „Solidarności” będą czerpać coraz więcej radości z politykowania i istnieje niebezpieczeństwo, że aktywność społeczeństwa zmaleje. Okazało się, że było ono dla nich tylko bydlęciem do głosowania, które teraz siedzi na arenie i ogląda sobie rzeź w sali parlamentarnej.

I tak się w istocie stało.

* * *

Ciekawym momentem w historii „Solidarności” była idea strajku czynnego, do powstania której by nie doszło bez stworzenia „Sieci”. O tym się mało pisze i mało kto pamięta tę ideę. Gdy okazało się, że strona rządowo-partyjna nie chce już rozmawiać z przedstawicielami „Solidarności” i nie chce ujawniać, czym dysponuje, czy magazyny żywnościowe rzeczywiście są puste, czy stan gospodarki jest aż taki żałosny, zdecydowano się na tzw. strajk czynny, tzn. na wzajemne zaopatrywanie się. Zakłady wymieniały potrzebne produkty między sobą i z chłopami. Wymagało to wielkiego trudu, aby taka samoorganizacja tak nastąpiła. Delegaci na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej podkreślali, że strajk czynny jest absolutną koniecznością. Zbigniew Janas z Regionu Mazowsze zakomunikował, iż „od dwóch tygodni Ursus przygotowuje się do strajku czynnego. Konsultacje przeprowadzone wśród załóg wykazały, że prawie 80 % popiera

taką akcją, z tym, że wśród robotników jest to nawet ponad 90 %”¹⁷. Na posiedzeniu rozważano też inne rozwiązania dotyczące gospodarki. Nie było więc tak, że „Solidarność” nie miała pomysłu, co należy czynić, by uzdrowić gospodarkę, jak wynika z rozważań Cezarego Michalskiego. Michalski chce być historykiem idei, woli rozpatrywać działalność „Solidarności” uciekając się do obiegowych pojęć, a nie w odwołaniu do ówczesnej rzeczywistości i ówczesnych możliwości. Tylko tak mógł dojść do wniosku, że elita solidarnościowa myślała w kategoriach romantycznej teorii narodu, natomiast „ekonomia polityczna romantyzmu” dla niej nie istniała¹⁸. Zdaniem Michalskiego miało to fatalny skutek po 1989 roku, kiedy owa elita okazała się bezradna wobec procesu transformacji gospodarki. „[...] większy wpływ na realne procesy gospodarcze w początkach III RP, szczególnie na procesy zachodzące w mikroskali, mieli ludzie tacy jak Ireneusz Sekuła, Aleksander Gudzowaty czy Cezary Stypulski niż solidarnościowi szefowie resortów gospodarczych z Leszkiem Balcerowiczem włącznie”¹⁹. Ich „ideologii” Michalski już nie próbuje opisać. Określenie „solidarnościowe elity” dobrze funkcjonuje w obiegowym rozumieniu, ale czy tzw. doradców z czasu 1980/81 należałoby obejmować tym terminem, jest rzeczą dyskusyjną. Lepiej byłoby odnosić go do tych ludzi, którzy kierowali bezpośrednio, czynnie ruchem „Solidarności”, a o których krąg osób skupionych wokół Wałęsy i jego tzw. doradcy nie chcieli pamiętać, kiedy urządzano okrągły stół.

* * *

W ostatnich tygodniach tzw. legalnego istnienia „Solidarność” już nie widziała – wobec wrogiego nastawienia władzy do oddolnego ruchu – innego wyjścia niż przygotowanie ostatecznych zmian, czyli wyborów rad robotniczych w zakładach, które i tak miały się odbyć w tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia, przygotowanie wyborów samorządowych w lutym 1982 r. i nowych wyborów do Sejmu oraz ewentualnie do planowanej Izby Wyższej, która miała się zająć głównie sprawami gospodarczymi. Tym samym bezkrwawa rewolucja skończyłaby się w podobny sposób jak amerykańska: ustanowieniem nowego porządku.

17. Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. *Posiedzenie w dniach 11–12 grudnia 1981*, s. 161. Zbigniew Janas pracował w tym czasie na stanowisku elektromontera w Zakładach Przemysłu Ciągnikowego „Ursus”, przedtem był maszynistą kolejowym w Elektrowozowni Warszawa-Ochota.

18. Cezary Michalski, „Desolidaryzacja”, czyli współpraca jako przedmiot roszczeń, w: *Lekcja sierpnia. Dziedzictwo „Solidarności” po dwudziestu latach*, pod redakcją Dariusza Gawina, IFiS PAN, Warszawa 2002, s. 192.

19. Michalski, s. 193.

Na to władza nie chciała pozwolić, co było w jej mocy, ponieważ dysponowała zdyscyplinowanymi oddziałami ZOMO i jednostkami wojska – w odróżnieniu do rewolucji węgierskiej z roku 1956, gdzie armia przeszła na stronę protestującego narodu. Romantyzm, o którym pisze tytu autorów krytycznie nastawionych do ruchu „Solidarności”, nie ogarnął wojska (z wyjątkiem pojedynczych osób), tzn. nie ogarnął całego narodu. Hannah Arendt i inni ciągle podkreślają, że ruch rewolucyjny zwycięża w momencie, gdy uzbrojeni nie są gotowi użyć broni przeciwko bezbronnym. Jeśli „Solidarność” popełniła błąd, to było nim to, że nie spróbowała wiele tygodni przed 13 grudnia, agitować w szeregach uzbrojonych, przekonywać żołnierzy, zomowców i oficerów, by nie prowadzili wojny z własnym narodem. Nie musiało to za sobą pociągać wojny domowej, a tym bardziej interwencji ze strony Związku Radzieckiego. Gdyby Jaruzelski nie był pewien, że ma za sobą wojsko i zmilitaryzowane jednostki, poszedłby na tzw. ugodę.

Dramat wpływu Lecha Wałęsy

Wielkim szczęściem dla ówczesnej władzy było wtedy to, że na czele „Solidarności” stał Lech Wałęsa, który nie pojął, jaką siłą stanowi samoorganizujący się ruch. Wyobrażał sobie, że różnymi sprytnymi pociągnięciami zdoła usatysfakcjonować obie strony: i członków „Solidarności”, i władzę. Systematycznie próbował odbierać impet ruchowi, hamować jego dynamikę. Już na początku swojej działalności w sierpniu 1980 r. ujawnił tę tendencję, gdy był gotów 16 sierpnia ogłosić zakończenie strajku, co się nie udało tylko dzięki grupie kobiet, wśród których były Anna Walentynowicz i pielęgniarka Alina Pieńkowska. Później stał się przywódcą „Solidarności”. W dość umiejętny sposób odsunął – oczywiście z pomocą innych – zdecydowanych przeciwników ówczesnej władzy, co można najlepiej pokazać na przykładzie tego, jak zwalczał – i to skutecznie – Annę Walentynowicz²⁰. A już całkowicie po myśli władzy postąpił po udanym czterogodzinnym ogólnopolskim strajku ostrzegawczym 27 marca 1981 r., odwołując trzy dni później samowolnie strajk generalny po rozmowie z Mieczysławem Rakowskim i jego towarzyszami.

Dość charakterystyczna była odpowiedź Wałęsy na list otwarty Andrzeja Gwiazdy, w którym ten protestował przeciwko łamaniu demokratycznych zasad kierowania NSZZ „Solidarność”. Wałęsa pisał na wstępie, że chce „tego samego, co wtedy: żeby Polska była Polska, żeby coś od nas zależało i żeby się dało żyć w naszym kraju. »Solidarność« temu powinna służyć”, że od odpowiedzialności

20. Zob. Sławomir Cenckiewicz, *Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929–2010)*, Zysk i S-ka, Poznań 2010.

„sam się nie uchyla”, ale porozumienie z rządem 30 marca było jego zdaniem „wyjściem najlepszym dla kraju i dla związku”, bo „zyskaliśmy to, co mogliśmy wtedy uzyskać”, dodając: „Stwierdzam z całym przekonaniem, że – co najważniejsze – niczego nie straciliśmy. [...] Ta decyzja nie burzyła demokracji związkowej, ale stwarzała warunki do jej zbudowania”. Teraz Wałęsa przechodzi do kwestii wyborów, które należy w odpowiednim momencie odbyć: sam deklarował, że chciał iść na „związkową »emeryturę«, żeby odsunąć się od kierowniczej pracy w Związku”. Doszedł jednak do wniosku, „że mu nie wolno [...] tego zrobić, dopóki istnieje możliwość, że mogłoby w Związku przeważać awanturnictwo czy nieodpowiedzialność”. Myślał zapewne o tym, że Jurczyk posuwa się w tym kierunku. Kończył stwierdzeniem: „Uważam, że dla Związku i dla kraju mogę jeszcze coś zrobić z odwagą i rozważą. Życzę tego Tobie także”. Wałęsa chce jednym słowem powiedzieć, że Gwiazdzie brakuje tej rozważi.

Jan Rulewski i Mariusz Łabentowicz skierowali w tym samym duchu co Gwiazda list otwarty do TKK, pisząc o Wałęsie:

Wy, nasi delegaci, mieliście atuty, z których mogliście wygrać najmniej połowę. [...] Przegraliście wszystkie karty, łącznie z cenzurą, więźniami politycznymi, rolnikami itp. Z częstych osobistych kontaktów z Wałęsą i efektów jego działania wnoszę, że dokonał przekłamań wspólnych naszych ustaleń. Wreszcie najgorsze, po 10-dniowych naradach, gdy naród oczekiwał głębokiego przełomu, podpisaliście komunikat, który był w stanie spłodzić najgorszy kancelista²¹.

Gdyby nie stan wojenny, Wałęsa chyba nie utrzymałby się na czele „Solidarności”. Dopiero, kiedy był przetrzymywany w ośrodkach rządowych w Chylicach i Otwocku pod Warszawą, potem w Arłamowie, nie zgadzając się na współpracę z władzami, stał się symbolem. Pomogły mu w tym wahania władzy, która nie wiedziała, czy przyjąć w dobrej wierze jego zapewnienie, iż jest gotów stworzyć „Solidarność” bez „ekstremy”. Doszła jednak do wniosku, że uda jej się całkowicie zlikwidować zorganizowaną opozycję, że ostry kurs się jej opłaca. Dopiero w 1988 r. zrozumiała, iż znalazła się w ślepych zaułku. Ale i wówczas, decydując się na okrągły stół, nie mogła sobie życzyć lepszego partnera niż Wałęsa.

Sukcesem Jaruzelskiego było, że kierownictwo ruchu „Solidarności” w latach osiemdziesiątych nie mogło się odmłodzić, choć akcje protestacyjne w drugiej połowie lat osiemdziesiątych zostały w dużej mierze przeprowadzone przez nową generację, która była radykalniejsza niż „weterani”. Im okrągły stół nie był potrzebny. Oni powtórzyliby rok 81, doszłoby do prawdziwego przełomu, bez sejmu kontraktowego, bez wyboru Jaruzelskiego na prezydenta i bez Kiszczaka w roli

21. *Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 31 III–1 IV 1981*, w: *Archiwum „Solidarności”*, Warszawa 1987, s. 32.

ministra Spraw Wewnętrznych, tym samym nastąpiłoby nawiązanie do doświadczeń z demokracją w okresie legalnej „Solidarności”.

* * *

Osobiście byłem w latach osiemdziesiątych przekonany, że w momencie przełomu „Solidarność” nawiąże do programu *Samorządnej Rzeczypospolitej*. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby jego współautor Bronisław Geremek po prostu zapomniał o zawartych w nim myślach. Dopiero później zadałem sobie pytanie, czy w ogóle poważnie traktował to, co zostało sformułowane z jego pomocą. Nie zdałem sobie sprawy, jak destrukcyjnie oddziaływały lata stanu wojennego na działaczy „Solidarności”, nie mówiąc o tych, którzy byli podczas tych szesnastu miesięcy aktywni, ale nie należeli do żadnego kierownictwa. Po zakończeniu obrad okrągłego stołu naród potrafił się zmobilizować w stosunkowo krótkim czasie, aby wygrać półwolne wybory. Słusznie pisze Adam Mielczarek, iż dzięki śpiącym rycerzom – ma tu na myśli ludzi aktywnych w tzw. podziemiu – „obudzony na chwilę perspektywą zmian ustrojowych, wyrastający z dawnej „Solidarności” ruch był w stanie w kilka tygodni przeprowadzić i w sposób druzgocący wygrać pierwsze od półwiecza częściowe wolne wybory”. Mielczarek podkreśla zarazem, że ten kapitał społeczny potem niestety nie został wykorzystany, szybko „entuzjazm do społecznej aktywności [...] wygasł”²².

Przeglądając moje notatki z okresu po okrągłym stole, odkryłem między innymi zapiski dokonane w nocy z 20 na 21.04.1989:

X opowiadał mi, że część „Solidarności” już przy okrągłym stole tęskniła za tym, żeby mieć udział we władzy (wejść do Sejmu lub przynajmniej do Senatu). Był ciekaw, czy Wałęsa będzie kandydować. Zrobiłem duże oczy, bo wydawało mi się, że jest od tego daleki. Zaśmiał się. Na pewno jest od tego daleki, ale inni żądni władzy obawiają się, że później w Sejmie i gdzie indziej niczego nie zdziałają i przede wszystkim zostaną opuszczeni przez „Solidarność”. Z Wałęsą to by nie nastąpiło, myśleli, *ergo* uczynią wszystko, by go wspierać w dążeniu do udziału we władzy. Ostateczna decyzja zapadnie w Rzymie.

Dzień później porównałem sytuację „Solidarności” z sytuacją niemieckich socjaldemokratów w okresie, gdy stali się legalną partią po ustawach antysocjalistycznych.

22. Adam Mielczarek, *Śpiący rycerze. Szeregowi działacze warszawskiego podziemia wydawniczych lat osiemdziesiątych*, Stowarzyszenie Wolnego Słowa, Warszawa 2006, s. 10 (akapit nosi tytuł „Od rewolucji do apatii”).

Nie wychodzi mi z głowy porównanie z niemiecką historią – po 1880 r. SPD zyskała znaczne wpływy w Niemczech, przetrwała z sukcesem ustawy socjalistów, coraz bardziej zyskiwała na władzy, doczekała wojny 1914 roku i tak bardzo związała się z Czarskim aparatem władzy, że w 1918 r. nie była już w stanie go rzeczywiście zreformować. „Solidarność” przetrwała czas stanu wojennego i dekretów specjalnych, uzyskała władzę i będzie pewnego dnia miała udział w rządzeniu państwem (Wałęsa już teraz prosi zagranicę o pomoc dla Polski, mówi o pomocy itp.), a potem zapomni, że trzeba to autorytarne państwo tak zreformować, żeby ze starych struktur nic nie zostało.

Tydzień później byłem z jednej strony pod wrażeniem, jak szybko doszło do konsolidacji ekipy kandydatów na wybory, z drugiej nie spodziewałem się radykalnych zmian, przez co zdecydowałem się nie kandydować do kierownictwa „Solidarności” na Uniwersytecie:

Przygotowania do wyborów wydają się przebiegać dobrze. Dzisiaj członkowie „Solidarności” oblepili wszędzie ściany małymi karteczkami z nazwiskami kandydatów. Widać, jak ludzie próbują zapamiętać sobie te nazwiska. Być może pójdą do urn wyborczych jak uczniowie, ze ściągawkami w ręku, żeby nie zrobić nic nieodpowiedniego. Wałęsa sprowadził dzisiaj dużą część kandydatów do Gdańska, żeby zagrać symbolami. Najpierw zebrali się pod pomnikiem stoczniowców, potem poszli do stoczni, do sali, gdzie w sierpniu 1980 podpisano porozumienie gdańskie. Teraz nie rozumiem już, dlaczego partia do tego dopuściła. Jaruzelski sądzi, że z zagwarantowanymi 60 procentami (5 % na pewno odpadnie) i z dużymi uprawnieniami, które będzie miał jako prezydent, będzie mógł rządzić. Wątpię, ponieważ opozycja jest dobrze zorganizowana. Na pewno władza się z tym liczyła, że opozycji nie uda się w ciągu kilku dni utworzyć listy 260 kandydatów, że ludzie w swoim głodzie władzy będą sobie trochę rozbijać głowy – nie doszło do tego (być może będą pojedyncze przypadki, ale tylko pojedyncze). Mogę sobie również wyobrazić, że „Solidarność” nie będzie miała stuprocentowego sukcesu, ale partii to nie pomoże. Wydaje mi się na straconej pozycji. Ale nie wolno jej tego zrobić. Co teraz? – ten krótki czas przygotowań do wyborów ma negatywny wpływ na struktury „Solidarności” – zaczyna się centralizować. Członkowie „Solidarności” będą w razie konieczności pomagać w wyborach, ale są tylko masą do głosowania [...] Postanowiłem nie kandydować do kierownictwa „Solidarności” na uniwersytecie, bo nie obiecuję sobie znaczących zmian w porównaniu z 80/81. Wtedy narodziły się idee, teraz chodzi o to, by je trochę udoskonalić i urzeczywistnić.

Po sukcesie wyborczym kierownictwo „Solidarności” jak najszybciej rozwiązało komitety wyborcze, prawdopodobnie w obawie, by nie doszło znowu do „karnawału”, czyli do ogólnospołecznej aktywności, do wymiany aktywistów, w pewnym sensie do wymiany generacji.

Zakończenie. O znaczeniu wpływu, autorytetu i hierarchii

Jak w związku z opisanymi tutaj zjawiskami posługiwać się pojęciami „wpływ”, „autorytet” i „hierarchia”? W absurdalnym antydemokratycznym systemie peerelewskim tzw. „doły” nigdy nie mogły mieć wpływu na istotne kwestie, a autorytet wzgl. pozorny autorytet przywódcy był po to, aby nie doszło do istotnych zmian. Operowanie pojęciem „hierarchia” w odniesieniu do „Solidarności” miałoby sens, gdyby Wałęsa uznał wyniki wyborów nie tylko w stosunku do swojej osoby, ale też do innych, a przede wszystkim do gremiów, które miały mieć decydujący głos w najistotniejszych sprawach. Miały one gwarantować, że dany problem zostanie merytorycznie przedyskutowany, aż dojdzie do wypracowania stanowiska. „Solidarność” dopasowała się jednak powoli do struktury PZPR-u.

Biorąc za podstawę statut PZPR, można by wnosić, że jest to organizacja zbudowana na zasadach demokratycznych. Podstawowa Organizacja Partyjna, w skrócie POP, miała wybierać wyższe instancje, najwyższa miał być Zjazd, natomiast między Zjazdami Komitet Centralny i Biuro Polityczne miały wydawać wytyczne dla dalszego działania. Gdyby nie inne mechanizmy, jak wydawane odgórnie pozwolenia, czy ktoś może kandydować na dane stanowisko lub zostać delegatem na Zjazd, to partia byłaby przez społeczeństwo inaczej odbierana i nie mogłaby rządzić autorytarnie, a już w żadnym wypadku totalitarnie. Były okresy, kiedy członkowie partii usiłowali przywrócić „prawdziwego ducha statutu”, wprowadzić tzw. zasady demokracji wewnątrz-partyjnej, np. w roku 1956, ale te próby szybko zostały wygaszone przez nowe kierownictwo partii.

Podsumowując: posługiwanie się pojęciami „wpływ”, „autorytet” i „hierarchia” ma sens, jeśli mamy do czynienia z sytuacją, w której obowiązują reguły demokracji. W przypadku, jeśli tzw. lud ma naprawdę coś do powiedzenia – myślę tu między innymi o ustroju demokratycznym na wzór Szwajcarii – słowo autorytet polityczny nabiera nieco innego znaczenia. Byłaby to osoba, która potrafi się odnaleźć w systemie, gdzie każda istotna sprawa dla danego regionu lub dla całego państwa podlega dyskusji i każde konkretne rozwiązanie musi być akceptowane przez daną społeczność. Wydaje się to bardzo męczące (obserwatorzy z zewnątrz na ogół nie potrafią zrozumieć, jak można się do tych procedur przyzwyczaić), ale Szwajcaria stała się przez swój osobliwy ustrój dość stabilnym i dobrze prosperującym państwem, mimo że mówi się w nim w czterech różnych językach. Polityk zdobywa w tych warunkach tylko wówczas autorytet, gdy potrafi rozmawiać z ludźmi jak równy z równymi. Uczestnicząc jako referent na konferencji na temat bezpieczeństwa i tolerancji, zorganizowanej przez społeczników-amatorów byłem zdumiony, że przyszli i pani minister od spraw wewnętrznych i jeden z najwyższych przedstawicieli policji. Bardzo

bezpośrednio i rzeczowo rozmawiali się oni o planowanych zmianach w dziedzinie bezpieczeństwa w kraju, nie odczuwało się wykrętów, jakie na ogół stosują politycy. Szło oczywiście głównie o to, na ile zwiększenie centralizacji spraw bezpieczeństwa ma sens. Ciekawy był też argument, że stworzenie profesjonalnej armii jest bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem, bo taka armia traci kontakt z ludnością, co prowadzi do brutalizacji życia w państwie. Trzeba wiedzieć, że armia szwajcarska jest naprawdę „ludowa”. Każdy poborowy (kobiety mogą się dobrowolnie zgłaszać się do armii) trzyma broń w domu aż do momentu, kiedy przestaje należeć do rezerwy ze względu na wiek. Granica wieku zależy od stopnia, jaki dana osoba uzyskała w czasie służby w armii. Im wyższy jest ten stopień, tym dłużej trwają obowiązki, które musi wykonywać w swojej jednostce.

* * *

Skutkiem strajków w sierpniu 1980 r. było powstanie „Solidarności”, wielkiego ruchu protestacyjnego, który pod szyldem związku zawodowego przeprowadził najróżniejsze polityczne akcje, mające na celu zlikwidowanie systemu rozkazowego. Szczególnie chodziło o wolność zrzeszania się, wolność słowa i wolny dostęp do mediów. W tym celu miały być dokonane nowe ustalenia prawne. Władza oczywiście wykorzystwała sprzeczność, polegającą na tym, że formalnie „Solidarność” była związkiem zawodowym, a w rzeczywistości ruchem rewolucyjnym. Udając, że ma do czynienia ze związkiem zawodowym, władza próbowała apelować do jego kierownictwa o dyscyplinowanie protestujących i tych, którzy w imieniu „Solidarności” walczyli już o następną wolność. Władza apelowała szczególnie do Wałęsy, aby „Solidarność” odcięła się od danego protestu. Sam Wałęsa na ogół nie odmawiał jej swojej pomocy, prosząc protestujących o przerwanie akcji dla „wspólnego dobra”. W ten sposób wyrobił sobie „autorytet”. Jako prosty człowiek cieszył się na ogół zaufaniem; tak zwani prości ludzie uważali, że jest ich i że nie popełni nieuczciwości. Krytycznie nastawione do niego było tylko jego otoczenie, ci – przede wszystkim koledzy i koleżanki z Wolnych Związków Zawodowych (WZZ) – którzy znali go z wcześniejszych lat, stali się po pewnym czasie jego wrogami. Początkowo nie występowali otwarcie przeciw niemu, obawiając się osłabienia ruchu, rozbicia jego zwartości. Każdą rozbieżność w Komisji Krajowej władza natychmiast wykorzystywałaby, aby ją dyskredytować. Wałęsa zyskał na autorytecie przez prywatną audiencję u papieża, choć była ona krótka. Ostateczne zwycięstwo jako przywódca odniósł na posiedzeniu po odwołaniu strajku generalnego, kiedy jego samowola została po burzliwej dyskusji jednak zaakceptowana na drodze głosowania. Od tego momentu Komisja Krajowa w dużo mniejszym stopniu mogła naciskać na niego, aby zmienił kierunek polityczny wystrzegając żądania w stosunku do władzy,

i przede wszystkim, aby można było przywrócić demokrację w „Solidarności”. Wałęsa umocnił swoją pozycję również dzięki uznaniu, jakie zyskał zagranicą. Został tam entuzjastycznie przyjęty. Stał się powoli legendą. Jeszcze dziś ma większe uznanie poza krajem niż w samej Polsce. Po wprowadzeniu stanu wojennego nieufność do niego była początkowo wielka, ale w miarę upływu czasu stawał się symbolem „Solidarności”, umacnianym znowu przez zagranicę oraz dzięki nagrodzie Nobla, papieżowi i zachodnim mężów stanu, którzy go regularnie odwiedzali. W końcu reżim Jaruzelskiego musiał z nim uzgodnić okrągły stół. Tym sposobem mógł pominąć „ekstremę”, tzn. tę część społeczeństwa, która pragnęła prawdziwej odnowy, a nie półdemokracji. Trudno mówić o prawdziwym autorytecie Wałęsy. Był on właściwym człowiekiem dla połowicznych rozwiązań, odzwierciedleniem tej części społeczeństwa, która lubi „kombinatorstwo”, bezbolesne zmiany, mając na ogół świadomość, że wyjdzie z tego coś kalekiego. Jeślibym miał użyć słowa „karnawał”, to zastosowałbym je do okresu po symbolicznym zwycięstwie ugrupowań solidarnościowych w czercowych wyborach, zaczynając od manipulacji wokół listy krajowej przez rzucenie hasła „Nasz premier, wasz prezydent” aż do wyboru Jaruzelskiego na prezydenta i grubej kreski Mazowieckiego, który zresztą chciał potraktować Wałęsę jako prywatną osobę. Duch z roku 1980/81 całkowicie się zatracił.